

— Oj czasy! czasy!

Opodal grupka młodych ludzi dyskutuje tak zawzięcie, że zapomnieli nawet o stojących przed nimi kufiach piwa.

— Czy tak, czy owak — twierdzi jeden, a w po dłuższej, bladej, chorowitej naturę zdradzającej twarzy błyszczy mu jak rozżarzone węgle czarne oczy — dla nas coś stać się musi... To konieczność dziejowa, nieunikniona... To kwestya międzynarodowa... Przecież wszystko, co się dzieje, to jest „Fluch der bösen Tat“!...

— Gadanie — odrzuca mu sceptycznie towarzyszy — musi, nie musi... Musiałoby, gdybyśmy mieli o! to mocne!...

I podsunął blademu młodzieńcowi pod nos ściśniętą pięść.

Rażycki postąpił kilka kroków dalej, upatrując znajomych twarzy.

— Ludwik! Jesteś nareszcie! Czekam na ciebie już od godziny! Piwo masz? Nie! No to ci przyniosę, nie dopchałbyś się sam z twoją ranną ręką! A teraz chodź, przedstawię ci moim towarzyszom — wołał Stanisław i nie czekając na odpowiedź Ludwika, przedstawiał:

— Mój kolega, chorąży Ludwik Rażycki — pan radca Maliniewicz, pan profesor Stobiński.

— Pan prosto z frontu? — zagadnął radca, siwiejący już, ale bardzo przystojny jeszcze, dobrze zakonserwowany mężczyzna. — Straszne rzeczy tam się dzieją, prawda?... Ogień, jakiego nie pamięta jeszcze historia tej wojny... To się chyba nie da opowiedzieć! I co to będzie, panie, co będzie?...

Ludwik wzruszył niechętnie ramionami. Irytowały go te ciągle, stereotypowe pytania o to, o czym chciał przestać myśleć, o czym pragnął zapomnieć.

— Słusznie pan radca mówi, że to się nie da opowiedzieć, dlatego też ja nie mam zamiaru nic opowiadać... A co będzie, tego nie wiem. Żołnierz nie lubi bawić się w proroka. Od wielu miesięcy nie byłem już w Krakowie, wołałbym usłyszeć, co tutaj nowego...

— A cóżby, łaskawy panie, bieda z nędzą... Ledwie się żyje, ledwie się oddycha.

Radca Maliniewicz rozpoczął ze Stobińskim, szczupłym, drobnym, a jak wązgiem i ruchliwym człowieczkiem, rozmowę o ciężkich czasach, o drożyznie, o kłopotach, trudnościach aprowizacyjnych.

Ludwik znudzony nie słuchał. Cóż go to obchodzić mogło, ile kosztuje kilo mięsa i dlaczego w mieście ustawicznie brakuje cukru.

Czego innego chciał się dowiedzieć, ale czego, tego sam dokładnie nie wiedział.

Tymczasem Stobiński bardzo zrećźnie przeskoczył z aprowizacji na zupełnie inny temat.

— To pan radca teraz, jakby to powiedzieć... słomiany kawaler... Córeczki wyjechały... Panna Józka zniknęła tak nagle, widziałem ją przed kilku dniami, nic mi nie wspominała o projekcie wyjazdu.

— Bo to przyszło nagle. Zaproszono ją i pojechała. Kazię wysłałem już przedtem do ciotki. Józka jechać z nią nie chciała, bo ta smarkata musi mieć zawsze swoje grymasy. No, ale na szczęście przyszło to zaproszenie i pozbyłem się na jakiś czas kłopotu.

— Miły to kłopot taka śliczna córeczka — zaśmiał się przymilnie Stobiński, którego ta rozmowa o „ślicznej córeczce“ zdawała się specjalnie interesować.

— Miły, jak dla kogo — machnął Maliniewicz ręką. — El... panie drogi, czy to pan nie wie, co to znaczy być ojcem, a jeszcze takiej Józki!...

— No, to najlepiej poznać się kłopotu, wydając córkę odpowiednio za mąż...

W brzydkiej, żółtawej twarzy Stobińskiego oczy zamigotały zielonawo, jak u kota.

— O! nie spieszy mi się zostać dziadkiem! Zresztą ta smarkata jeszcze ma czas, a czego jak czego, ale konkurentów to jej nie braknie. Zeby ona tyle rozumu miała, ile ma wielbicieli. Panie, co ja z nią przeszedłem, kiedy była w Pradze podczas ewakuacji!

Stobińskiemu broda poczęła jakoś nerwowo latać.

— Otóż to właśnie!... Za dużo wielbicieli, to niebezpieczne, dlatego trzeba, żeby panna Józka wyszła wcześniej za mąż i to za człowieka na stanowisku, solidnego, statecznego, któryby umiał pokierować śliczną, ale trochę płochą żoneczką...

Już nie tylko broda, ale cała twarz drgała mu nerwowo, powieki mrugały silnie, uporczywie wpatrywał się w twarz radcy.

Maliniewicz uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie ma o czym jeszcze mówić — odpowiedział wymijająco — jak powiedziałem, dziewczyna ma jeszcze czas, a teraz niechże sobie posiedzi na wsi, kiedy ją pani Walczakowa do Zalesinek zaprosiła.

— Jestem już! wyczekałeś się! Ale trudno, taki tam tłok przy piwie, że nie można się docisnąć — zabrzmiął głos Stanisława, który postawił przed Ludwikiem „bombę“ piwa.

Ostatnie słowa Maliniewicza zainteresowały Ludwika.

— Pan radca wspominał o pani Walczakowej z Zalesinek. Czy to o pannie Żurakowskiej z domu mowa?

— Tak jest. Pan ją zna?

— To moja kuzynka!

— Winszuję pokrewieństwa! Panie, co to za śliczna, miła kobieta. Jak ją poznałem w Pradze, o mało co, a byłbym się zakochał!... Moją Józkę lubi bardzo, troszczy się o nią, jak o rodzoną siostrę.

— O Anielce Żurakowskiej mówicie panowie — wtrącił Stanisław — ładna istotnie dziewczyna, ale dziwaczka, co się najlepiej okazuje w tem jej niedorzecznym małżeństwie.

— Dlaczego niedorzecznym? — zapytał Ludwik.

— No, chyba ładna panna, z dobrej obywatelskiej rodziny i z posagiem w dodatku mogłaby lepszą partycję zrobić. Walczak nie ma majątku i to człowiek nie z naszej sfery.

— Dajże spokój ze sferą, co to ma za znaczenie obecnie.

— Pewnie, że głupstwo sfera — odezwał się radca — ale tu o co innego chodzi. Walczak zdolny, panie tego, bardzo zdolny, przyszłość miał przed sobą piękną, ale teraz to kto tam wie, jak z tą przyszłością będzie. Jedną nogą pozostała sztywna, ręką nie włada, no i wogóle zdrowie nadszarpięte. Cóż to za życie dla kobiety młodej, ładnej, zdrowej?

Ludwik poczuł przykre ukłucie w sercu i mimowolnie spojrzał na swoją ranną rękę.

Lekarz powiedział mu dzisiaj, że rana goi się dobrze i że za kilka miesięcy będzie mógł władać ręką zupełnie dobrze. Nie było więc obawy, aby został kaleką.

A jednak strach go jakiś przeniknął, a gdyby... a gdyby było inaczej...

Nie wszystkie kobiety są Anielkami Żurakowskimi. Przypomniał sobie kobietę, z którą pożegnał się niedawno.

— Och! Pani Ada... jakżeby ta przyjęła męża, któryby powrócił do niej niezdolny do wyteżającej pracy.

— Ludwik jak się masz? Nie poznajesz mnie?!

Słowa te wyrzekł młody żołnierz w muodurze Legionisty. Legionista wspierał się całym ciężarem na kulach, nie miał bowiem jednej nogi.

Twarcz jego wywierała przejmujące, tragiczne wrażenie.

Jedna połowa twarzy była gładka, świeża, młodzieńcza, druga przeorana, zeszpecona straszliwą blizną wykrzywającą usta.

— Władek, ty?!

— Tak, ja... Nie poznałeś mnie od razu? Co prawda trudno mnie poznać.

Coś chwyciło Ludwika za piersi i dławiło go za gardło.

To Władek, Władek Jawicz — ten śliczny chłopiec, najzgrabniejszy tancerz, znany sportowiec... Władek, o którym dla jego urody krążyła piosenka:

„I z postaci i z oblicza,  
Któż piękniejszy nad Jawicza“.

— Dwa lata prawie nie widzieliśmy się — powiedział Jawicz — Zmieniłem się przez ten czas, co? Ano *à la guerre comme à la guerre*... Chodź, napijemy się czego, tylko ja muszę usiąść, bo stać długo nie mogę.

Ludwik pożegnał swoich towarzyszy i poszedł za Jawiczem do drugiej sali, gdzie usiedli przy stoliku.

— Dwie wódki, tylko większe! — rzucił Jawicz kelnerowi.

— Nie piłeś dawniej wódki — zauważył Ludwik.

— Dawniej było co innego. Teraz piję. No, nie patrz na mnie z takim tragicznym smutkiem. Żołnierska dola...

Ludwik ochłonął już z pierwszego wrażenia.

— Nie mam wcale zamiaru robić tragedii. Jestem, jak ty żołnierzem i to samo lub nawet co gorszego spotkać mnie może. A ty nie powinienes poddawać się rozpacz. Masz przecie zdrowe oczy, zdrowe ręce i głowę na karku. Radę sobie dasz w życiu.

— Pewnie, że sobie jakoś dam, a zresztą... szkoda o tem gadać. Poszedłem dobrowolnie... nie mnie nie zmuszało, jestem przecie Królewakiem... I wiesz, tylko jedna myśl mnie dręczy, chciałbym wiedzieć czy... Zresztą dajmy i temu spokój... W szynku do serca się nie zagłąda — tylko do kieliszka.

Urwał, sięgnął po wódkę, którą przyniósł kelner i wychylił kieliszek jednym haustem.

— Władek, tyś przecie miał narzeczoną, co z nią słyhać?

— Moją narzeczoną? O! Wyszła już za mąż, tylko nie za mnie. Przestraszyła się prawdopodobnie tego... no, mojej zmienionej nieco fizyognomii... A niech tam!

— Podła! — wyrwało się Ludwikowi.

— Cóż za ostre słowo! Nie przesadzajmy, mój drogi. Ja przebaczyłem i zrozumiałem. Nie starczyło jej sił do podjęcia takiej próby... no i jak się okazało, to praktyczną była, choć lubiła mówić o idealach. Ot, kobieta!

— Nie wszystkie kobiety jednakowe! — odparł Ludwik, który przypomniał sobie Anielkę.

Jawicz skinął głową.

— Masz rację. Hela Lidzińska inaczejby postąpiła.

— Hela Lidzińska... Hela Lidzińska — powtórzył sobie w myśli Rażycki — Gdzie i kiedy słyssał to imię?

W wyobraźni jego wychyliły się wielkie, ciemne, głębokie oczy kobiece, widziane dzisiaj w przelocie na ulicy.

— Kto to ta Hela Lidzińska? — zapytał.

— Koleżanka mojej byłej narzeczonej — odparł Jawicz — śliczna, niepowszednia natura, dzielna dziewczyna, a ciężkie ma życie.

— Dlaczego?

— Opowiem ci to kiedyindziej, jeżeli zechcesz wiedzieć. A teraz, o co to ja cię chciałem zapytać? Ach! Widziałeś już może panią Adę Warewiczową, twoją i moją ongiś „flamę“. Spotkała mnie niedawno i pytała o ciebie.

Ludwik zmieszał się.

— Tak, widziałem ją...

— No, nietrudno ją spotkać, wszędzie jej pełno. Słuchaj, Ludwik, powiem ci coś, czego chcesz — słuchaj, czego nie chcesz — nie słuchaj, ale ja ci to powiedzieć muszę. Unikaj tej kobiety, ona ci nic dobrego nie przyniesie.

Rażycki poruszył się niespokojnie na krześle.

— Gniewasz się może o to, co powiedziałem? Wierzę mi, że to nie zazdrość przemawia ze mnie, ale ja tę kobietę przejrzałem... Ludwik, znasz ty jej męża?

— Bardzo mało, to niedołęga zdaje mi się.

— Niedołęga? O, nie! To tylko człowiek o głębiej dobroci serca, który młodość miał smutną, szarą, bezbarwną i piękną żonę swoją ukochał uczuciem cichem, głębokim a mocnym, jak śmierć. — Wyrwał ją z biedy, z rodziny, w której było dużo dzieci a mało pieniędzy, otoczył ją dostatkiem, pracował na nią, zaciął zęby i milczał... Niedoleństwo? — mówisz — Można to tak nazwać... dla tego, że nie miał siły wyrzec się jej, wypędzić... Kocha ją, a zresztą dziecko... Jabył powiedział, że tragiczny człowiek.

Ludwik wbił wzrok w stojący przed nim kieliszek i nic nie odpowiedział.

### ROZDZIAŁ III.

O umówionej godzinie dzwonił Ludwik Rażycki do mieszkania pani Ady. Otworzyła mu służąca.

— Czy pani w domu?

— Tak jest, proszę pana.

Drzwi lekko się uchyliły i ukazała się w nich głowa pani Ady.

— Dobry wieczór panu! Proszę poczekać trochę, proszę być cierpliwym, bo ja się ubieram.

Czarnowłosa głowa kobieca zniknęła.

Ludwik wszedł do pokoju za służącą, która przekreśliła kontakt światła elektrycznego i wyszła.

Pokój przepojony był wonią róż, ulubionego kwiatu pani Ady. Wiewie róż ponsowych, bladobiałych, gorącożółtych, nieskalanie białych tkwiły w wazach naśladujących antyczne.

Na stole stało czarno-atłasowe pudełko, do połowy napelnione jeszcze różnorodnymi cukrami. Za jedwabną wstążeczką, wewnątrz pudełka, wetknięty był bilet wizytowy, obok stała popielniczka z niedopałkami papierosów.

Ludwik usiadł na ustawionej w rogu kanapce, na której leżała rzucona niedbale otwarta książka...

Rażycki czuł się jakoś nieswojo... szedł tutaj ociągając się, wahając, jakby wbrew swojej woli...

Słowa Jawicza pomimo, że starał się je odpedzić, brzęczały mu ciągle w uszach: „Unikaj tej kobiety, ona ci nic dobrego nie przyniesie“...

Spojrzenie jego padło na stół, zauważył wykwintne pudełko z cukierkami, bilet wizytowy i popielniczkę, pełną wypalonych papierosów.

(Dalszy ciąg nastąpi).